



turniej



Napisał: Marek Pałciński

Hermi zaklął dosadnie. Noga w ciężkim, próżniowym bucie obsunęła mu się i o mało nie spadł z galeryjki w falujące żartoczenie morze chmur... Przeklęta planeta! Kończył właśnie spawanie. Iskry sypały się wokół, zabarwiając pancierz stacji na fioletowo. Po chwili całe rozdarcie było już pokryte stygnącą warstwą stopu. Hermi zacisnął rękę na uchwycie i podciągnął się niezdarne. Byłe prędzej do wjazdu! Wewnątrz nie grozi już żadne niebezpieczeństwo. Spojrzał przelotnie na rudą mgłę atmosfery pod sobą. Potem przez warstwę czerwieni, żółci i opalu przeniósł wzrok na wygwieżdżone niebo. Gdzieś tam, w tych straszliwych czeluściach czerni błyszczało słabo Słońce... 325 lat świetlnych stąd... Tam było miasto, koledzy, Helen. Tu była Longa – tak nazywało się to ponure miejsce zagubione na peryferiach Galaktyki.

Co mogło przyjść do głowy uczonym, żeby wysłać praktykantów na odosobnione placówki? Kosmolot z Ziemi przylatywał tu co 6 miesięcy... i tak dobrze! Hermi był przeciążony pracą. Na normalnych placówkach robota trwała 12 godzin na dobę. Tu trwała 18... I jakby nie dość było kłopotu z meteorytami, miejscowy biały karzeł stale dostarczał materiału do obserwacji: wybuchał, pokrywał się plamami, wyrzucał strumienie gazów. Obłąd! „Zwariowałbym, gdyby nie fantomator!” – pomyślał Hermi.

Czym był fantomator? „Wysocze wyspecjalizowany mózg elektronowy, reżyserujący urojone sytuacje i za pomocą elektrod przesyłający je do mózgu ludzkiego” – odpowiedzieliby cybernetycy. Hermi nie znał się na tym. Wiedział jedynie, że fantomator to bardzo dobra rzecz. Można za pomocą niego w każdej chwili zostać Keplerelem, Cezarem czy Napoleonem. Teraz też uśmiechnął się, myśląc, że za chwilę będzie mógł zasiąść przed jego pulpitem. Przez czarny, kwadratowy otwór wjazdu dostał się do służby, zamknął starannie kłapę, wpuścił powietrze i zdjął skafander. Był w domu.

Kolistym korytarzem z iluminatorami po zewnętrznej stronie, Hermi skierował się ku

swojej kabinie. Po drugiej stronie korytarza widniał rząd drzwi z emaliowanymi tabliczkami: „Laboratorium chemiczne”, „Laboratorium astrofizyczne”, „Laboratorium solarystyczne”. Ostatnie drzwi były otwarte – tam mieściła się kabina Juna Hermiego. Praktykant usiadł na pokrytym szeleszczącą folią łóżku. Przyjrzał się wiszącemu nad nim portretowi Helen. „Ach, Helen, żebyś wiedziała, jaki tu jestem samotny” – pomyślał. Wstał z impetem i wyszedł na korytarz. Podszedł do iluminatora i zatopił wzrok w ciemności. Chmury, chmury, chmury... Wolnym krokiem ruszył przed siebie. – „Ach, Helen, Helen, tak daleka, a jednak niezmienna...” – nucił, przytupując w takt ciężkimi buciorami. Na swej drodze zobaczył czarną, gumową piłeczkę. Kopnął ją, potem pobiegł, jakby chciał wpaść w nurt minionych lat dziecinnych. Przystanął, zadyszany. Zagwizdał zasyłaną kiedyś melodię „Wesoły astronauta” i zaraz poczuł się raźniej. Przypomniawsobnie, jaki był ponury tam, na panczerzu i zaśmiał się. Wtem uprzytomnił sobie, że stoi przed drzwiami laboratorium cybernetycznego. Zaskoczonym wzrokiem wpatrywał się w napisane przez siebie szminką do ust (tę szminkę dostał na pamiątkę od Helen) hasło: „Niech żyje fantomator”. Nacisnął kławkę i znalazł się w dużej sali. Za jej przednią ścianą, wzmocnioną nitami, czuwał ON. Bezosobowy kształt, zlepek półprzewodników, a jednak jaki cenny i dobry. Fantomator... Hermi usiadł. Poczul zimny dotyk elektrod na skroniach. „Afryka, okres tworzenia się cywilizacji” – podał myślą rozkaz. Po chwili rzeczywistość roztopiła się, a jej miejsce zajęły ostre i całkiem wyraziste wizje...

Wokoło rozciągała się nieprzebyta ściana splątanej roślinności, dziewicza dżungla. Krzyczały papugi. Na bezchmurnym niebie żeglował złocisty krąg słońca. Bose, czarne stopy deptały i tłamsiły kępy wysokiej trawy. Czarownik drżał, wznosząc rozognione spojrzenie ku niebu. Krzyknął i podskoczył kilka razy. Twarz wykrzywiła mu się w dziwnym grymasie. Wieniec z liści, który trzymał w ręce, szeleścił przejmująco. Czarownik tańczył. Wrzeszczał i tańczył, jakby w transie.

Po chwili i inni obecni na polanie porwani zostali rytmem tańca, zapamiętali się w nim aż do stanu ekstazy, do stanu zapomnienia, gdy troski dnia codziennego topnieją w natłonionym ryku, w rytmie bębnow. Tańczyli, tańczyli, póki tchu w piersiach starczyło. Wreszcie usiedli. Pośrodku rzeszy tańczył dalej czarownik. Wymachując rękoma, krzyczał coś niezrozumiale. Tańczył aż do zmroku. Wtedy zastąpił go inny...

W tej samej chwili Hermi podał inny temat wizji: „Ruiny świątyń azteckich w Copan nad Zatoką Meksykańską”.

Był w całkiem innym, oddalonym od poprzedniego świecie. Z tyłu, ustóp wysokiego, skalistego brzegu, szumiął Pacyfik. Hermi stał u podnóża łagodnej, wyciętej schodkowato góry, porośniętej soczystą trawą. Po chwili dopiero zorientował się, że to była piramida – przedwieczna piramida, na której rosły krzaki kawy. Poczul brzemień tysięcy, które przeszły nad tą okolicą – nad szumiącym morzem trawy, nad Pacyfikiem w spienionych bałwanach z ptakami kołującymi gdzieś wysoko pod srebrnym, jakby wykutym ze szlachetnego metalu słońcem. Słońce! Nie jakiś tam ohydny biały karzeł na jeszcze ohydniejszej Londze...

Mimo tych budujących uczuć poczul się nagle przeraźliwie samotny. „Spotkanie oko w oko z czasem” – pomyślał. Tak, to było dobre określenie. Czas. Wielki, nieodwracalny nurt zagarniający w siebie najprzód ludzi, a potem to, co stworzyli...

Hermi patrzył na strzeliste słupy przedwiecznych kolumn, pokrytych niezrozumiałymi rysunkami. Patrzył na rozsypane odłamki kamieni leżące w beładzie, niby zbieleńskie kości na stepie... Zaprażył wyrwać się z tego świata.

Wystarczyło jedno słowo, jedna myśl.

I znów inny świat. Inne niebo...

Ziemia... Hermi poczul w ręce zimną rękociecz miecza. Szedł. Za nim krokami wybijało rytm dziesięć tysięcy opancerzonych wojowników. Pierwszy szereg wrogów zbliżał się. Rozróżnić już można było poszczególne twarze, zastygłe w tępych wyrazie nienawiści pod okapami hełmów. Jak długo jeszcze? Trzy,

dwa metry i słychać tępy szczeł żelaza. Bitwa. Jęki rannych niby przeraźliwe zawroscenie samej śmierci... Krew pod stopami...

Nagle Hermiego ogarnęło dziwne uczucie. Oto zaprażył popsuć obwody w fantomatorze, pomieszać jego szyki! Żeby nie mógł już tak ulegle spełniać poleceń. Żeby się kiedyś wreszcie zawałał. Tak! Wprowadzić go w dezorientację!

Hermi zaczął wydawać sprzeczne rozkazy. Obrazy mieszały się, zamazywały, wreszcie utworzyły jakiś straszliwy, przerażający, jaskrawy wir. Wtedy usłyszał brzęczyk. Rozejrzal się wokół siebie. Był w kabinie fantomatora na swojej stacji krążącej niestrudzenie wokół obrzydłej Longi.

„Przeciążenie, mogłem się tego spodziewać” – mruknął do siebie. Zdjął z głowy zimną koronę z elektrod, wstał, wyłączył bezpiecznik. Postanowił spędzić czas jakoś inaczej, nie w fantomatorze. Wyszedł na lśniący emalią korytarz. Dobry humor opuścił go całkowicie, uleciał gdzieś i Hermi mimo rozpaczliwych wysiłków nie mógł na powrót go odzyskać. Podszedł do iluminatora. Za grubą szybą z organicznego tworzywa buchał żarem biały karzeł niby kolisty otwór pieca. Poniżej, drapieżnym ruchem śliskiej salamandry, przesuwały się pasma chmur. Gdy Hermi oderwał wzrok od krajobrazu, przed oczyma latały mu barwne kręgi. Co za jaskrawy świat!

Wtem do głowy przysłała mu dziwna myśl. Dziwna i przerażająca: „A może ciągle pozostaję pod wpływem fantomatora? Może ten korytarz, iluminator, biały karzeł, chmury, kaktus w trójkątnej doniczce – to wszystko złudzenie? Miraż?” Im gwałtowniej odpędzał tę myśl od siebie, tym mocniej przenikała zwoje jego mózgu. Wreszcie zdecydował się poddać próbie. Trzeba przebiec kilka razy wokół stacji – to powinno przywrócić mu poczucie rzeczywistości. Hermi ruszył bez wahania. Najpierw biegł wolno, jakby z rozważą. Potem zaczął przyspieszać. Zatrzymał się dopiero wówczas, gdy poczul ból w okolicy serca. Zmęczenie! Wskazywałoby to, że nie jest otoczony zwidami. A jednak... a jednak nie odzyskał pewności siebie. „Chcesz



mnie pokonać?” – wyszeptał z trudem. „To ci się nie uda”. Policzek zadrgał mu nerwowym tikiem. „Spokój! Tylko spokój”. Hermi usiadł. Miał w zapasie jeszcze jeden sposób, lepszy od poprzedniego: pamiętał, że na galerijce stacji zostawił kiedyś młotek – zwykły młotek, jakim wybija się nity z pancerza. Fantomator nie mógł o nim wiedzieć. Jeśli młotek będzie na galerijce – otacza go rzeczywistość, jeśli nie – to on trwa w świecie wizji. Wstał. Wolnym krokiem poszedł ku żółtym drzwiom służy. Otworzył je delikatnym naciśnięciem klamki. Wszedł. Zdjął z haka sztywny skafander, włożył go, docisnął uszczelki butów. Zanim przyśrubował kopulasty hełm, pomyślał, jak bardzo nie chce mu się wychodzić tam, na pancerz. Mimo to otworzył właz służy, zamknął, wypuścił powietrze. Potem długo męczył się z odblokowaniem głównej klapy. Gdy wreszcie wciągnął ją, poczuł lekki zawrót głowy, który jednak zaraz minął. Hermi schwytał mocno żelazny pręt uchwyty. Opuścił się na galerijkę. Nie spoglądał w dół, bo po co? Oglądać to samo po raz setny? Byłoby to ponad jego siły. Czepiając się pancerza, niby lunatyk, szedł wzdłuż zaginającego się delikatnie profilu stacji. To już tu? Nie, trochę dalej. Za szóstym iluminatorem. „Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... Tu!” I cóż? Ani śladu młotka! A więc...

Wtem usłyszał za sobą człapiące, metaliczne kroki. Coś stanęło koło niego. Z trudem odwrócił się i zobaczył walcowaty półautomat naprawczy, celujący oksydowaną rurką palnika prosto w hełm jego skafandra.

– Co tu robisz, człowieku? – spytał automat.

„Skąd on taki mądry? – pomyślał Hermi – Jak mi wiadomo, półautomaty naprawcze...”

– A ty? – odparł niezupełnie przytomnie.

– Wykonuję polecenie zmiany ochronnych płyt pancernych nad centralnym pomieszczeniem stacji. Co robisz na pancerzu?

– Szukam młotka.

– Młotka? Tego, co leżał za szóstym iluminatorem?

„Zdecydowanie zbyt dobrze poinformo-

wany” – przemknęło znowu przez myśl Hermiemu.

– Tak.

– Musiałem go wziąć do celów wykonania polecenia.

– Możesz mi go dać na chwilę?

– Oczywiście.

Czarny chwytak półautomatu wysunął się, podsuwając Hermiemu pod nos błyszczący metalicznie przedmiot. Hermi wziął go, obejrzał... „Tak, na pewno ten sam...” Oddał młotek robotowi.

– Czy mogę odejść dla wykonania polecenia?

– Idź.

– Człowieku, uważaj na siebie.

Dopiero po dobrych kilku chwilach doszedł do świadomości Hermiego sens tych słów. „Co on powiedział? Uważaj na siebie? A to dobre!” – Hermi jeszcze nigdy nie słyszał, żeby automat, a zwłaszcza półautomat, mówił coś takiego. Znowu owładnęła nim niepewność. Dotykał zimnego pancerza stacji. „Materialny, przecież materialny” – szepotał, próbując przekonać sam siebie. Rzucił obłokom nienawistne spojrzenie. Bez uczucia, niemal jak automat zaczął wdrapywać się do włazu. Zamknął mosiężną pokrywę, dokręcił śruby z desperacją człowieka całkowicie zrezygnowanego. Potem, niemal z nawyku, pedantycznie wykonał wszystkie czynności związane z wejściem do stacji. Po chwili stał już w sterylnym korytarzu, w oczy raziła go niemal doskonała biel ścian i sufitu. „Jak w klinice” – pomyślał Hermi i bardzo go to zgiewało. Ruszył przed siebie, chwiejąc się, jakby szedł po granicy przepaści, którą jest niebyt. „Ależ tak! Niebyt, nicość! To ostatnia droga ucieczki!”

Wszedł do swojej kabiny. Wyciągnął szufelkę nocnej szafki, wyjął stamtąd owinięty w srebrną cynfolię przedmiot. Był to wibrator. Krótka, oksydowana rura z rączką i zgrubieniem pośrodku. Hermi ostrożnie rozwinął cynfolię. Długo wpatrywał się w wibrator, delektując się jakby smakiem nadchodzącej śmierci. Wreszcie ujął zimny uchwyt, zajrzał w czarny wylot rury. Wzrok jego niechętny padł na zdjęcie Hélien. „Żegnaj, Helen!” –



wyszeptał i nagle zwątpił w słuszność powziętego przed chwilą postanowienia. „Na to zawsze będzie czas” – pomyślał. Wyszedł z kabiny i skierował się do laboratorium cybernetycznego.

Znów był w dziwnym świetle wizji. Lecz tym razem wizje te napawały go lękiem. Ujrzał siebie leżącego bez zmysłów w fotelu fantomatora; potem wchodzącego do laboratorium. Wizje narastały, przelatywały z rosnącą szybkością; nie próbował nawet ich rozumieć, tak szybko mijały. W końcu zlały się w jedną niby-rzekę, pędzącą gdzieś nieodwracalnym nurtem w oceanie czasu. Wtedy Hermi poczuł, że spada, że jest coraz dalej od rzeczywistości. Jedne zwidy zastępowały inne, mnożyły się, brakło mu tchu, spadał, spadał, spadał!... Gdzieś tam na dole przepaści czekała na niego ząglada, pustka, nicność. Rozpaczliwie próbował się uchwycić kogoś tam z rzędu pasma rzeczywistości... Nie! Nie wytrzyma tego dłużej!

Nagle poczuł, że coś w nim pękło jak cienka, przezroczysta błonka. Wszystko uciuchło. Czerwona mgła przesłoniła mu oczy...

*

Po czterech miesiącach, jak zwykle, przyciął kosmolot. Byli na nim ludzie z Ziemi,

energiczni, pełni zapału, którym znudził się widok niebieskiego nieba i zielonych, szmerzących pól... Wyglądali przez iluminatory kosmolotu, obserwowali purpurową tarczę planety. A potem dziwili się, że namiary podaje automat. Wreszcie wylądowali na czarno-białej płycie stacji.

Podeszli do wjazdu. Nikt go nie otwierał. Na ponawiane pytania nie doczekali się żadnej odpowiedzi. Postanowili wejść zapasowym wjazdem. Odryglowali go z trudem. Weszli. Chodzili po korytarzach, nawoływali. Nic. Dowódca rozkazał przeszukać stację. Hermiego znaleźli w laboratorium cybernetycznym, leżał w fotelu fantomatora.

– Śmierć nastąpiła przed czterema miesiącami – stwierdził lekarz.

Dowódca długo patrzył na martwego praktykanta-operatora.

– Zauważyłeś wyraz jego twarzy?

– Tak, to twarz człowieka będącego na granicy wytrzymałości.

– Jak to się mogło stać? – wyszeptał cybernetyk.

Jeszcze tego samego roku wprowadzono zakaz używania fantomatorów na stacjach kosmicznych obsługiwanych przez pojedynczych operatorów, przez co skazano ich tym samym na zupełną samotność.